



TREŚĆ NUMERU:

- Adam Płomiński. *Nie bać się wojny z Rosją.*
 Wacław Lipiński. *Rok 1920.*
 Hugo Kaufman Heński. *Jeszcze w sprawie Senatu.*
 Sinn-Fein.
 Maksymilian Weronicz. *Dyplomacja Sowiecka.*
 P. Uwagi.
 Wacław Socha. *Rocznica piętego pułku legionów.*
 T. R. *Z dni wielkich klęsk i wielkich zwycięstw.*
 Marceł Handelsman. *W piątym pułku legionów.*
Pieśń o 64 p. p.
 Jan Szczyński Maysel. *Emisar jusze II.*
Prace na dziś i jutro: Z. Zawisza-Gąsiorowska: *Narodowi o bratniej doli.*
Rzeczy Różne.

Nie bać się wojny z Rosją!

Rokowania pokojowe w Rydze są bliskie zakończenia. Rozwiał się jednak — jak się zdaje u wszystkich — różne iluzje o „pokoju porozumienia”; w czasie rokowań w Mińsku chciała Rosja narzucić nam pokój jako zwycięzca, — w Rydze podpisała preliminarja jako zwyciężona.

Nikt nie posądzi nas o to, byśmy byli entuzjastami traktatu takiego, jaki zarysował się w Rydze. Oddala on i utrudnia wypełnienie tego planu polityki polskiej w stosunku do wschodnich naszych sąsiadów, jaki jedynie zapewnia Polsce silne stanowisko państwowe, rozwój nowoczesny i tę rolę, jaką ma ona do spełnienia między narodami. Nie mniej jednak uznajemy traktat ten za — niedoskonały co prawda — wynik zwycięstwa i w tym fakcie upatrujemy jedyną gwarancję jego pewności.

Rosja bolszewicka dąży jednak wszelkimi środkami, by u siebie, u nas i w świecie całym zatrzeć oczywistość tego faktu; stara się wywołać wrażenie, że pokój zawiera dobrowolnie, a pokonana wcale nie jest. Widocznem jest na tym przykładzie jak na dłoni, że ogłaszanie się za zwycięzcę, lub uznanie za pokonanego nie jest tylko kwestją ambicji narodowej, lecz że jest to zupełnie realny i w skutki obfitujący czynnik polityczny. Uży-

wa więc rząd bolszewicki wszelkich sztuk, w których takimi mistrzami są panowie Troccy, Radki, Cziczerinowie i Joffowie. Przedłuża rokowania obstrukcją w sprawie wymiany jeńców, w kwestjach ekonomicznych i wszelkich innych, które się tylko nadarzą. Wysyła noty zuchwałe z pretensjami o rzekome „krzyczące” pogwałcenie rozejmu i preliminarjów przez Polskę. Wtrąca się w sprawę Litwy, co do której w traktacie wstępnym podpisała swą bezinteresowność. Reklamuje wreszcie po świecie całym gotowość swoją do podjęcia nowej wojny, a nawet różnymi poczyniami militarnymi gotowość tę manifestuje.

A gesta takie są bardzo na rękę nie tylko Rosji samej, lecz również tym wszystkim, którym Polska i jej rozwój są solą w oku. Niemcy na każdym kroku wyzyskują je jako atut, bo to wrażenie, że Polska nie jest pewna, ani bezpieczna wzmocnia ogromnie ich stanowisko w Europie, a specjalnie w sprawie Górnego Śląska zwiększa ich szanse przy plebiscycie. Kowieńska Litwa z pretensyj i gróźb rosyjskich robi dla siebie atut w sprawie Wilna. Ci wszyscy, którym solą w oku są dobre stosunki nasze z Łotwą i Estonją, argumentem niepewności naszego pokoju odciągają je od nas w in-

ną stronę. A wreszcie czarna finansjera międzynarodowa i ci wszyscy, którzy interesy robią na naszym trudnym położeniu gospodarczym i rzekomą niepewnością naszego położenia obniżają polską markę i podcinają kredyt.

Po świecie całym rozlega się zgodny chór bolszewicko-niemiecko-żydowski i głosi, że na wiosnę grozi Polsce nowa inwazja.

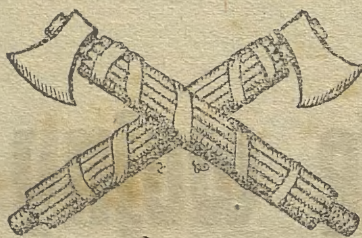
Rzecz ciekawa, że w Polsce chórowi temu wtórują ci właśnie, którzy zresztą najwięcej krzyczą przeciw Niemcom, bolszewikom i żydom, — ale u nich wskazania rozumu politycznego kończą się zawsze tam, gdzie wchodzi w grę strach. Szukają więc na gwałt w Polsce partji wojennej, wbrew oczywistości denuncjują, że Nacz. Dow. popiera Bałachowicza lub Petlurę, oskarżają Rząd, że swą polityką naraża na szwank dzieło pokoju;—a chodzi tu nie tyle nawet o zaatakowanie nienawistnego Rządu i Dowództwa, co o własny strach, wywoływany ustawicznie szerzonymi przez nieprzyjaciół celowo po świecie nastrojami.

I cóż Polska począć winna wobec nastrojów

tych i całej owej systematycznie prowadzonej akcji? Czy dać się zasugerować tej panice? Ustępować Joffemu i w myśl jego wskazówek szukać, gdzie nie dość lojalnie zachowuje się Rząd w sprawie Petlury, Bałachowicza, Białorusinów—a nawet w sprawie Żeligowskiego? Przyzna każdy, że wprost przeciwna droga prowadzi do celu. Nie wolno słuchać paniki szerzonej zagranicą a nawet i u nas, nie wolno miękko zachowywać się wobec szantażów i gróźb. Prowadzić trzeba odważną politykę: wzmocni ona tylko podstawę, na której zbudowany został pokój, bo da poznać Rosji i światu, że jesteśmy i czujemy się zwycięscami.

Stara to zasada, że kto chce wygrać pokój nie wolno mu bać się wojny. Sprawdza się ona i w tym wypadku. Polska nie ma się czego bać wojny ze zdeorganizowaną Rosją. Groźby i postrachy są dziś tylko grą, która ma zatrzeć wrażenie naszego zwycięstwa, pozbawić nas wszystkich płynących zeń korzyści—i odwlec sam pokój.

Adam Płomieńczyk



ROK 1920.

(Dwuletni okres. Część III).

Dobiegający swego końca rok 1920 ze wszystkich lat wojny polskiej najsilniejszą po sobie zostawi pamięć.

Jeżeli kiedyś historycy listopad 18 roku zapiszą na stronę plusów narodowych, i orzekną, iż sami Polacy oblekli w czyn postanowienie traktatu Wersalskiego, to bezwątpienia dzieje roku 1920 zaliczą do zasług, przekreślających nieomal wszystkie dawne przewiny.

Dla armji polskiej rok ten już w zaraniu swych miesięcy zapowiedział się jako rok próby generalnej. Miała ona gotować się do ostatecznego zwycięskiego zakończenia wojny.

Temu celowi miała służyć ofenzywa kijowska. Przez styczeń i luty oraz pierwszą połowę marca dywizje polskie zimowały w zupełnym spokoju, od czasu do czasu tylko przerywanym wypadami poszczególnych grup.

W dniu 19 marca rozpoczęli bolszewicy pierwszą generalną ofenzywę, zwróconą przeciwko polskiemu frontowi, chcąc zepchnąć wojska polskie i owołać niepodzielnie całą Ukrainą.

Próby te zakończyły się najzupełniejszą klęską.

Lecz na tym nie koniec.

Czerwona armja, po rozbiciu Kołczaka, Jude-nicza i Denikina, przygotowywała się do decydującego uderzenia, takiego, któreby rozwalilo bramę w polskim froncie.

Dwa wielkie cele stawiała sobie armja czerwona. Pierwszy—to obrona Rosji przed obezwładnieniem za pomocą utworzonych i tworzących się nowych państw, obrona Rosji, jako mocarstwa, sięgającego od Władywostoku po Lwów. Drugi cel—to rozbicie armji polskiej, zajęcie Warszawy, podanie ręki spartakusowcom—decydujący krok ku rewolucji światowej.

Ofenzywa marcowa do niczego nie doprowadziła. Krzepkie ramiona polskiego żołnierza nietylko cios pochwyciły i zatrzymały lecz odbiły go ze straszną siłą. W dniu 26-ym kwietnia dywizje polskie uderzyły od Związła i Płoskirowa i w ciągu czternastu dni zajęły całą prawobrzeżną Ukrainę, z jej stolicą, Kijowem. Jednocześnie rząd polski uznał państwo ukraińskie za niepodległe. Naczelny wódz wydał odezwę, którą niepodległość tę gwarantował.

W Moskwie zawrzało. Ugiąć się pod ciężarem

kłęski, toby znaczyło to samo co śmierć. Na to pozwolić nie było można.

Ku południowemu skrzydłu na Jampolskie jary i stopy Kahorliku skierowano wszystką już od zimy koncentrowaną jazdę, a na Dźwinę północną wszystką piechotę.

Na północy miał rozpocząć atak gieneralny nowy wódz, z dawien sławny gienerał Brusilow, wraz z licznym gronem carskich gienerałów. Ściągnięto tutaj dwadzieścia prawie dywizyj, aby w chwili najprzejazniejszej — uderzyć.

Wybrano ten północny punkt z bardzo prostych przyczyn. Tutaj po przez Mińsk i Wilno najszybciej złączyć się można było ze starym i wiernym sojusznikiem Moskwy — Berlinem.

W pierwszych dniach maja uderzono tak gwałtownie i tak potężnie, że wylamano bramę. Ale od Głębokiego i Mołodeczna w kilka zaraz dni ruszyła kontrofenzywa polska. W dwa tygodnie po rozpoczęciu przez Rosję północnego ataku, mogli już dwaj polscy gienerałowie, Szeptycki i Sosnkowski wydać rozkazy zwycięskie do swoich wojsk.

Ale jednocześnie, ruszył na południe nowy atak. Konna armia Budiennego, wyzyskała słabą obsadę frontu, i wpadła na tyły armji Rydza-Śmigłego. Psuć poczęła tory, palić stacje, zagrażać zdezorganizowaniem tyłów. Trzeba było Kijów opuścić, cofnąć się, skrócić front.

Bolszewicy nie poprzestali jednak na odparciu wojsk polskich z samej tylko Ukrainy. Gotował się już nowy cios na północy, gotowała się olbrzymia ofenzywa na początek lipca, na termin przepowiedziany przez Hindenburga w styczniu. Ofenzywa marcowa na południu, następnie w maju na północy, były tylko przygrywką, próbą związania polskiego frontu, usiłowaniem zmęczenia, zdemoralizowania żołnierza polskiego.

Kilkanaście polskich dywizyj utrzymywało front, lecz w ciągłych choć zwycięskich walkach przemierzały one ogromnemi marszami obszary od Grodna po Letgalską Rzeczycę, od Brześcia po Mozyrz, od Lwowa po Kijów. Dobrze było, gdy walczyły z przeciwnikiem o tej samej sile liczebnej.

Lecz polskie Nacz. Dtwo nie miało ani możności materialnej, ani sprzyjających warunków potrzebnych na to, by armia nasza mogła sprostać liczebnie tej ogromnej przewadze, jaka teraz na kształt chmury groźnej zwała się ze wchodu. Materialnej — bowiem każdy nadpsuty karabin, każde działo wybrakowane, kupione na zachodzie, obciążało nieznośnie skarb polski. — Nie miało sprzyjających warunków, bowiem chłop polski, który zasilał armje dziesiątkami tysięcy rekrutów, nie mogąc

doczekać się reformy rolnej, nie widząc interesu swego w toczącej się bez końca wojnie, a podejrzewając w jej trwaniu interes „panów“ w wielu powiatach nie stawiał się na wezwanie do wojska.

W takich okolicznościach, gdy władze wojskowe nie mogły się zdecydować na zasilenie armji materialem, noszącym w zarodku znamiona niechęci do wojny — trzeba się było zdecydować na doprowadzenie wojny do końca tym materialem żołnierskim, który wprawiony w wojnę, poznawał w swoim wojsku czym jest Polska dla niego...

Stawka była za duża.

Nie będziemy dalej szukać przyczyn tych chwilowych kłesk z lipca i pierwszej połowy sierpnia. W nr. 41 w artykule p. t. „Wojsko a społeczeństwo“ określiliśmy nasz sąd w tej sprawie. Tu podnieśliśmy tylko wartości moralne wojska polskiego, które pozwoliły mu od brzegów Wisły rozpocząć ową kontrofenzywę Naczelnego Wodza, która w końcowym rezultacie, w bitwie nad Niemnem, do szczętu zlamala potęgę militarną Rosyjskiej Republiki Rad. Wartości te wypływają z jednej zasady, której pismo nasze od lat jest propagatorem i zwolennikiem. Jest to zasada żołnierza-obywatela. Uczniowie Komendanta przeprowadzili ją w wojsku zwycięsko. I ona do zwycięstwa ostatecznego przyczyniła się w niepomiernym stopniu.

Piętnastego więc sierpnia 1920 roku rozpoczęła armja kontrofenzywę od brzegów Wisły. W ciągu 7 dni zajęła Brześć i Białystok.

Poprowadzona jeszcze jedna operacja nad Niemnem i nad Bugiem do reszty rozbiła armje bolszewicką, do szczętu zniosła jazdę Budiennego.

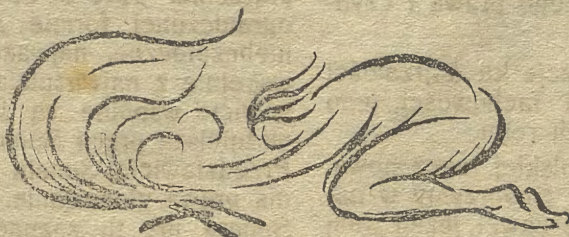
Wojna została wygrana. W ciągu następnych sześciu tygodni zawarto zawieszenie broni, podpisano w Rydze preliminarja.

* * *

Według wszelkich danych wojna z Rosją została skończoną. Rosja bolszewicka, chociaż rozbiła Wrangla, zapewne nie pokusi się o powtórny marsz na Warszawę, gdy pierwszy o mało ją do grobu nie wpędził.

Naród polski jednak, któremu żołnierz ocalił byt państwowy, nie powinien o swym żołnierzu zapominać, — a przedewszystkiem i głównie winien pamiętać o tych wartościach, które zwycięstwo umożliwiły. Starać się trzeba, aby ów typ zwycięskiego dzisiaj żołnierza-obywatela był typem naszej armji, aby te hasła, pod których znakiem wychowywał się pierwszy żołnierz polski, były konsekwentnie i stale wpajane w wojsko.

Wacław Lipiński.



Jeszcze w sprawie Senatu.

Wezwanie do posłów.

Dzisiaj, kiedy widocznem się staje, że w sprawie Senatu powoli w ciągu walki wylania się kompromis, który zbliża się coraz bardziej do stanowiska, zajętego przez „Rząd i Wojsko“ w lutym roku 1919 (w numerze 8-ym z 23 lutego, w artykule: „Z rozważań o polskiej konstytucji“)—niechaj wolno będzie autorowi owego artykułu jeszcze raz głos swój podnieść. Tembardziej, że stanowisko tam zajęte wcale nie było wynikiem kompromisowości. Słuszne, czy błędne, było dyktowane pewną myślą ponadpartyjną, usiłującą na tle realnych warunków Polski i Europy wskazać drogi ku twórczości politycznej prowadzące. A kiedy targ i kompromis doprowadza do tego, do czego doprowadzićby mogła pewna myśl jednolita i całość obejmująca—nie jest to już tosamo. Lepiej, by myśl urodziła się i uświadomiła w pierw nim targ nastąpi. Targ nie jest twórcą. Kiedy jemu wyłącznie pozostawi się *tworzenie* konstytucji polskiej, pomści się to na ciele i na duszy Polski.

Walka lewicy przeciw oficjalnym projektom senatu była faktycznie uzasadnioną, walka przeciw senatowi wogóle jest w niej psychologicznie uzasadnioną. Jak w historii tej instytucji tak i w dzisiejszej walce o nią przeziiera u obrońców tendencja zahamowania i osłabienia woli ludowej.

Czy nie można jednak wyobrazić sobie ludu samego w pełni sił i władzy, tworzącego *dla swoich interesów* drugą Izbę obok Sejmu? Oczywiście przez tych ludzi, którzy zdolniby byli ten interes ludu głębiej leżący ujrzyć, skryształizować i w imieniu demokracji oń walczyć. O to chodzi, czy są tacy ludzie dziś w Polsce...

Zdaniem naszym to skryształizowanie winno wyglądać w sposób następujący: My, Lud polski, nie chcemy żadnej innej Izby tworzącej prawa, jak tylko tę jedną, tak jak dotąd wybieraną. Nie mówcie nam o fachowości i wiedzy. Dla nas najważniejszy jest pogląd polityczny i charakter. Wiedza może bowiem, gdy te ostatnie są słabe lub nam wrogie, przeciw nam być obrońcą. A pojęciem fachowości nieraz nas już oszukano. I nie zgadzamy się na drugą Izbę *prawodawczą*, nawet gdybyście nie chcieli młodych z niej wykluczyć, nawet gdyby była zupełnie stworzoną na podobieństwo pierwszej. Już wtedy byłoby to zahamowaniem naszej woli, *która i tak dzisiaj prędkich i bezpośrednich dróg szuka*, byłoby daniem dwóm osobom równego prawa i czynności, aby się ścierały ze sobą...

Ale my, Lud polski, demokracja ku dojrzałości dążąca, nie odrzucamy wiedzy i fachowości, jeno chcemy, by była bronią w naszym ręku.

Stworzymy w konstytucji polskiej rzecz nową, której niema nigdzie na świecie. Stworzymy w naszym interesie i nie będziemy się nawet, jeżeli wam o to chodzi, bali starej nazwy, senatu.

Aby użyć dosadnego porównania: Mam ważną i długą sprawę w dalekiej stronie. Wysyłam tam człowieka zaufanego. W jego jednego charakter

wierzę, że mnie nie zdradzi. On jeden ma decydować, nikt inny. Ale do pomocy i rady dodam mu człeka uczonego. Do pomocy i rady, do niczego innego. Człeka tego też sam wybiorę, ale choć ich dwóch będzie wybranych, każdy będzie do czego innego i jeden tylko będzie miał władzę, aby moja sprawa na tem nie ucierpiała, tylko zyskała...

Senat winien być w całości wybierany prawem wyborczym równym sejmowemu. Tylko okręgiem wyborczym winna być cała Polska, aby przedstawiał interes całości, wobec interesów partykularnych. Lista wyborcza winna mieć prawem przepisaną ilość i rodzaj ludzi fachowych w różnych dziedzinach wiedzy społecznie szczególnie ważnej.

Jest trudnością, ale możliwą do pokonania i wartą trudu, jak obiektywnie określić, kto pośród przedstawicieli różnych dziedzin jest za fachowego uważany i ma przez to bierne prawo wyborcze.

Mówiliście, dotychczasowi obrońcy senatu, tyle o wiedzy i fachowości — oto przyjmujemy ją, ale stworzymy z niej rzecz naszą. Obok przedstawicieli literatury i sztuki, obok pracowników, obok pewnej prawem przepisanej ilości inżynierów, pedagogów i t. d.—znajdą się przymusowo na każdej liście wyborczej w *poważnej ilości* fachowi działacze związków zawodowych, robotniczych i działacze w kooperatywach miejskich i wiejskich. O to powinna iść walka demokracji. Już wyloniła się w ostatnich czasach myśl, aby pewna ilość prawników musiała być na każdej liście wyborczej do senatu. Nie przeczyliśmy potrzebie prawników w senacie i to w ilości poważnej. Ale dlaczego tylko w tym kierunku przymus? Jeżeli naprawdę o wiedzę przedewszystkiem i fachowość w senacie chodzi, a nie o zwalczanie ludu, dlaczego nie wprowadzić wiedzy i fachowości ludzi pracy, która najbliższą przyszłość tworzyć będzie?

Ponieważ prawo wyborcze nakaze wybór pewnej ilości fachowców z różnych dziedzin pracy, *a nie przedstawicieli stanów*—będzie Senat jakby nowego rodzaju Izba pracy. Nowego rodzaju, bo nie wybieraną przez organizacje pracy, lecz przez cały naród właśnie z pośród tych organizacji.

Senat, jakeśmy wyżej powiedzieli, nie jest Izba prawodawczą. Jest nią jedynie Sejm. Senat ma prawo kontroli i inicjatywy, oraz krótkotrwałego wstrzymania uchwał Sejmu do nowego przezeń rozpatrzenia. Aby to ostatnie prawo nawet w tej tak ograniczonej formie nie stało się dla woli ludowej niebezpieczne, najważniejszy organ Senatu pracuje wspólnie z najważniejszym organem Sejmu. A mianowicie wspólne są komisje. Tu objawia się najważniejsza praca Senatu, wynikająca z jego składu. Przedstawiciel Senatu w danej komisji sejmowej nie ma prawa głosowania, ale ma obowiązek w imieniu Senatu już tu zaznaczyć jego stanowisko i dążyć do uzgodnienia z wolą komisji sejmowej. To uchyliłoby w niejednym wypadku późniejsze wstrzymanie przez Senat uchwały sejmowej, która zresztą i tak po powtórnem uchwaleniu przez Sejm staje

się prawem. Nie tu więc leżałby punkt ciężkości, lecz w pracy fachowej Senatu, objawiającej się w *kontroli* administracji państwowej i instytucji społecznych, jednym słowem całego życia narodowego,

w kontroli o wielkich, prawem określonych prerogatywach, i płynącej stąd *inicjatywie prawodawczej*. Wykonanie jej do Sejmu należy.

Hugo Kaufman Heński.



Sinn-Fein.

*Tam, za morzem, tam serce mej młodości bije —
Hen, gdzie w chwale milczenia bohaterzy giną —
Dziwną mocą mnie ciągniesz, męczeńska kraino,
Której hufce na pomoc nie spieszą niczyje...*

*Patrzy świat i podziwia... Wzrok jego padalczy
Dnie głodowe oblicza więziennych rycerzy.
To tak zawsze: ktoś syty rachuje i mierzy,
A ktoś w grozach podziemia ze swą śmiercią walczy...*

*Zbuntowanych helotów setne pokolenie!
W beznadziei odwiecznej cudni pół-bogowie!
Któż mi od nich, tak bliskich, żywe słowo powie?
Kto im moje zaniesie bratnie pozdrowienie?*

*Czy mi zabrzmia ich mową kiedy usta czyje?
Mową obcą, jak łąki tamtejsze zielone...
Ku ich lawie podziemnej lotnym ogniem płoną —
Tam, za morzem, tam serce mej młodości bije!*



Dyplomacja Sowiecka.

Ententa i Rosja w r. 1918.

Praktyczna i trzeźwa w swoich obliczeniach, szczerze demokratyczna w ocenie zjawisk historycznych, nie obciążona nadmiernym przerostem etykiety dyplomatycznej i ogromu tradycji, po dyplomacji arystokratycznej w Europie zazwyczaj odziedziczonych—dyplomacja amerykańska umiała jasno i bez przesądów przystępować do problemu rosyjskiego. Idea Rosji federacyjnej, złożonej z prowincyj choćby najbardziej samorządnych, z natury rzeczy nie mogła wywołać odruchu protestu w państwie, które już w nazwie swojej dumnie podkreśla samorządność swych składowych części i ich dobrowolny prawnopaństwowy związek — w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. A na sowieckie, socjalistyczne próby bolszewickie Ameryka patrzyła, jako na takie. Uznawała za słuszne zupełnie określenie Lenina, że jest to eksperyment. Wierzyła, że jest to eksperyment bez żadnych widoków powodzenia—jeżeli chodzi o skomunizowanie Rosji. Nie miała żadnej możności zapobiedz temu eksperymentowi i jeden taki wzgląd wystarczał dyplomacji amerykańskiej, ażeby przyglądać się temu, co się dzieje w Rosji z najzupełniej zimną krwią. Ponadto — Ameryka zbyt ceni przyszłość i inicjatywę, ażeby eksperymenty bolszewickie w obcym kraju miały budzić w niej instynkty zachowawcze i na nich oparte akty polityczne. Wolność jest mimo wszystko

dźwignią życia amerykańskiego. Co najważniejsze—fiasco eksperymentów leninowskich otwierało przed Ameryką perspektywy ogromnych korzyści gospodarczych. Fiasco nie ulegało wątpliwości—więc Rosja prędzej czy później stać się musi terenem ekspansji obcego kapitału. Może to więc być przedewszystkiem kapitał amerykański—najbardziej przemysłowy i organizatorski kapitał świata, względnie najmniej zmilitaryzowany, zbogacony na wojnie w stopniu niesłychanym dotąd, mający nadmiar wszystkiego, co składa się na produkcję, i chciwie poszukujący rynków zbytu. Te okoliczności pozwolą Ameryce pierwszej bodaj przystąpić do eksploatacji rynku rosyjskiego natychmiast po jego otwarciu, zawładnąć nim i na długo odsunąć innych konkurentów. Gospodarstwa bowiem innych krajów, bardziej zdestruowane przez wojnę, nie pozwolą na konkurencję z ekspansją przemysłu amerykańskiego natychmiast po ukończeniu wojny. Zgodnie z duchem dyplomacji amerykańskiej—i w danym wypadku problemy polityczne ustąpiły wobec problemów ekonomicznych. Bez względu na tendencje komunistyczne we własnym kraju, stosując ostre represje wobec swoich bolszewików, Ameryka nie miała wrogości dla bolszewizmu rosyjskiego. Próbowwała nawet wejść z nim w kontakt polityczny. W przypuszczeniu, że agresywność Niemiec skłoni bolszewików do wznowienia wojny, gotowa była sama dopomóc Rosji sowieckiej, skłaniała do tego innych koalicjantów. Bolszewicy pro-

pozycje te odrzucili. Od tej chwili Stany Zjednoczone, powodując się względami solidarności sojuszniczej, uczestniczyły w różnych zbiorowych aktach dyplomatycznych Ententy w stosunku do Rosji sowieckiej. Nie okazywały natomiast żadnej skłonności do czynnej interwencji, do regulowania wewnętrznie politycznych spraw Rosji. Ta ostatnia poprostu przestała realnie istnieć dla Ameryki — do chwili, kiedy stanie się możliwy z nią kontakt gospodarczy.

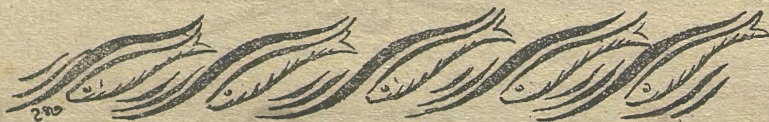
Pozycję Francji określały przeciwne wprost pobudki. Najbardziej zagrożona i najsilniej z pośród państw koalicji krwawiąca w tej wojnie, najboleśniej też odczuła zdradę cennego, pod względem liczebności armji najważniejszego sojusznika. Traktat brzeski oznaczał gospodarcze i militarne wzmocnienie Niemiec czyli ofenzywy niemieckiej na froncie zachodnim, a więc dla Francji zwiększenie liczby ofiar w materiale ludzkim żołnierskim, który w tym kraju depopulacji jest wielokrotnie cenniejszy, niż w każdym innym, a którego Francja traciła w wojnie nierównie więcej, niż Ameryka i Anglja. Straszny wysiłek Francji okazywał bezpośredni, roznamietniający wpływ nawet na tych jej agentów, którzy z reguły, z tytułu swoich bezpośrednich obowiązków zachowywać muszą lodowaty spokój. Żagwią płomiennej nienawiści przeciwko rządowi sowieckiemu był — wśród cudzoziemskiego korpusu dyplomatycznego w Rosji — ambasador francuski p. Noulens. Był w tym względzie wiernym i bezpośrednim odbiciem nastrojów rządu francuskiego, a różnił się nawet krań-

cowością swojej do rządu Lenina nienawiści od francuskich oficerów, członków francuskich misyj wojskowych i wojskowo-politycznych. Oficerowie ci pragnęli za wszelką cenę nakłonić Rząd sowiecki do restytucji frontu antyniemieckiego i wbrew woli rządu paryskiego i jego oficjalnego przedstawiciela, gotowi byli zachowywać z nim normalne stosunki dyplomatyczne, jak z wszelkim uznanym, a nawet skołalizowanym rządem, byleby tylko podjął na nowo akcję wojenną przeciwko Niemcom. (P. przytoczony w Nr 47 „Rządu i Wojska“ rozkaz komendanta Alphonse'a Guinet, szefa misji wojskowej francuskiej przy oddziałach czesko-słowackich w Rosji). P. Noulens nie wierzył we współdziałanie militarne Rosji sowieckiej. Miał natomiast na uwadze dekret Rady Komisarzy Ludowych, anulujący wszelkie długi zagraniczne Rosji — w tej liczbie i olbrzymie wierzytelności francuskie, — oraz fakt, że Francja, reprezentująca ekspansję czysto finansową, nie przemysłową, nie miała żadnej prawie przyszłości ekonomicznej w Rosji, żadnych widoków udziału w organizowaniu jej odrodzenia przemysłowego i płynących stąd korzyści. P. Noulens nie krył, że zdaniem jego i zdaniem rządu francuskiego należy siłą obalić rząd sowieków, zaznaczał publicznie, że Francja uczestniczyć w tem będzie w miarę sił i środków, niemal oficjalnie zapowiadał zbrojną interwencję i głośno kreślił plany jej realizacji.

Anglja lawirowała.

C. D. N.

Masymiljan Weronicz.



U W A G I.

Niczego się nie nauczyli.

W ostatnich czasach zjawiała się na pulkach księgarskich ciekawa praca. Tytuł dość szumny: Wskrzeszenie Państwa Polskiego. Szkic historyczny. Tom I. 1914—1918.

Niewiadomo co bardziej podziwiać, czy odwagę cywilną „Krakowskiej Spółki Wydawniczej“, czy skromność autora... niepodpisanego. Autor próbuje bezstronnie ocenić zasługi różnych grup politycznych dla wskrzeszenia Polski. Najpierw uprzejmie dowodzi, że wszystkie orientacje były dobre: „Austriacka dla tego, że uchroniła Polskę przed utopieniem się w rosyjskim morzu, a podniosła myśl państwa polskiego i urzeczywistniła ją w proklamacji z dn. 5 XI. 1916 r. Rosyjska orientacja dlatego, że chociaż szczęśliwie pokonana, nie pozwalała ograniczać budowy państwa polskiego do zaboru rosyjskiego i utrzymywała myśl połączenia ziem polskich. Orientacja trzecia, koalicyjna, łącząc w sobie myśli przewodnie obu poprzednich: zjednoczenia ziem polskich i utworzenia z nich państwa — dotarła wreszcie do celu!“... (str. 2). — Widzimy, że autor sądzi wedle łatwej zasady — „i Panu Bogu świeczkę i djabłu ogarek“: szkoda jednak, że spostrzega *tylko* te trzy

orientacje. Wogóle ze swego „prezesowskiego“ fotelu autor nie spogląda dalej, niż ku przedpokojom „wielkich“ Conradów, Burjanów, Beselerów i Karolów Stefanów. Charakterystycznym jest, że opisując bardzo szczegółowo rozmowy i memorjały wymieniane między „trzeźwymi“ politykami Polski i Austrii oraz Niemiec (rzeczy znać dobrze mu znane)... bardzo pobieżnie i z lekceważeniem traktuje lewicę polską i wogóle pracę organizacyj politycznych polskich. „Trzeba z góry zrezygnować z zadania, aby je wszystkie wymieniać“... (str. 85) mówi o stronnictwach lewicowych Warszawy; są to dlań rzeczy mało ważne, wobec „epokowych“ assambli wiedeńskich... Ciekawe, że również każdy energiczniejszy krok ze strony Legjonów, — w celu uzdrowienia stosunków uczyniony... witany jest zawsze niecierpliwym wstrząsem ramion. — Natomiast z entuzjazmem i przejęciem opisuje się jakieś niedoszte wspaniałe manifestacje — i zamachy stanu na rzecz „króla polskiego arcyksięcia Karola Stefana“... czy cesarza Karola. To byłoby nas z niewoli do ziemi obiecanej wprowadziło, — a nie udało się dzięki „warcholstwu“ lewicy.

Są w książce i inne jeszcze rzeczy, rzeczy smutne: Zachwyt dla dobrej woli Niemiec i Austrii! „Nie

było wprawdzie Polaka, któryby wątpił, że Niemcy zdolni są wystawić znakomite wojsko polskie, że Beseler, zdobywca Antwerpii i Modlina, włoży w to całą swą wiedzę i zapal... (str. 132). A więc autor wierzy w dobre chęci i „zapal” Beselera a gorszy go niezrozumiały „kult dla Pilsudskiego”. Mówiąc z przekąsem o „idealizowaniu” cierpień Szczypiora i Benjaminowa autor powiada: „Dopraszano się wypuszczenia na wolność internowanych, ale w Beselerze, który tyle razy ustępował, odezwał się żołnierz... (str. 183).

W takim tonie toczy się opowieść. Rozumie my, dlaczego autor urwał na dacie listopadowego przewrotu. Dalszy ciąg byłby zapewne dlań zbyt... niecenzuralny...

Zaletą autora jest to, że jest „dzentelmeński”; żadnych wyzwisk, oszczerstw, nawet często obrona spotwarzonej lewicy... ale obrona taka, co to hen z „góry” ku padolom spogląda.

Autorze! Jakże nisko z tych wysokości zleciałeś—oto dziś tak pomiatane przez ciebie żywioty, nie godne kartki w twojej pracy historycznej, posiadają w sejmie około 150 posłów — a Waćpan, czy choćby paru swych przyjaciół politycznych doliczysz się na ławach poselskich...

Możeście byli ludźmi dobrej woli i wybaczącymi łatwo, ale starość,—nie radość... no i w ostatnich latach niczegoście się nie nauczyli...

P.



ZOŁNIERZ POLSKI

Rocznica 5 Pułku piechoty Legionów.

Pułk polskiej piechoty!..

W „rozwinętych” — przepyszny siwy rzut dwurzędu, komendą stężony, jak w ziemię wkopany mur; w „kolumnie marszowej” — kipiący życiem, swawolą i piosnką, jak ptaków na wyraju radosny, młody gwar; w „defiladzie” przysięgłe, na śmierć wierne oczy, wbite w łuk surowych Wodza brwi i mocny rytmiczny krok!..

Pułk Legionowej piechoty!..

Poczęty z Wodza granitowej woli, z tęsknoty czynu i pragnień wolności tak silnych, że nie skruszyła ich kazamat ciemnych noc, Sybiru wiew lodowy, ni chłodne szubienic zarzysy...

Trzy tysiące płomiennych młodych serc, trzy tysiące niezłomnych dusz, chylących się tylko przed jednym Polski sztandarem...

Skupiona w nich honoru duma, skupiona nieskruszona wola i czyn, zuchwały polski czyn...

Snują się nad nimi i kołyszą śmiertelne szepty z pól Raszyna, z nad brzegów Plessy, Berezyny dziadów i ojców dolata głos...

Zaklina w głuche obozowe noce Belwederczyków głos tajemny i grobowe wloką się cienie tych wszystkich, którym w młodości swojej już zaprzysięgali krew gorącą...

Piątęgo z tych niezłomnych pułków Legji ro-

cznicę powstania święcimy. Jedno z tych pułkowych świąt, które od sześciu lat na posterunku bojowym zawsze się odbywały...

* * *

Uplywa szósty rok od utworzenia 5 pułku piechoty Legionów Polskich. Pułk ten — który przez lata wojny wybił się na pierwsze miejsce wśród pułków legionowych — w dzisiejszej polskiej wojnie słynie jako jeden z najbardziej wypróbowanych bojowo i moralnie.

Utworzono 5 pułk w roku 1914 w Galicji, w Nowym Sączu. Wówczas to, w przeddzień wymarszu pod Łowczówek z 1-go pułku Legionów Polskich, liczącego naówczas sześć batalionów, utworzono 2 pułki piechoty: 1-szy i 5-y, organizując w ten sposób słynną 1 Brygadę Józefa Pilsudskiego.

W dniu tym, 18-go grudnia, dowództwo nad 1-y pułkiem objął dzisiejszy generał, wówczas major Rydz-Śmigły, nad pułkiem 5-y zaś, już po krwawej i bohaterskiej bitwie pod Łowczówkiem, objął komendę kapitan Leon Berbecki, dzisiejszy generał i dowódca 3-ej Dywizji Legionów.

Przez długi okres dwu prawie lat 5-y pułk składał się z batalionów I-go (byłego IV) i II-go. Obydwa te bataliony w szeregu bitew, w ciągu olbrzy-

miej ofensywy letniej 15 roku, w licznych, bohaterskich bojach roku 1916 złożyły się wspólnie na tę sławę, jaka od tego czasu oświetla piąty pułk.

Łowczówek, Nida, Konary, Tartów, Urzędów, Rośna, Stowyczoż, Koszyszcze, Kostjuchnowka — oto szereg zwycięskich bitew, które stoczył piąty pułk, w okresie dwuletnim walk Legionowych. Pod dowództwem komendantów batalionów, kapitana Sława-Zwierzyńskiego i majora Wyrwy-Furgalskiego, pod dowództwem podpułkownika Berbeckiego wybił się wkrótce na przodujące miejsce, otrzymując chlubną nazwę „Zuchowatych“...

Lecz nie tylko pod względem bojowym 5 pułk wybijał się zaszczytnie. Przez szczęśliwy dobór oficerów, podoficerów i żołnierzy potrafił wytworzyć wśród swego grona świetny nastrój moralny, odporność na wszelkie zakusy, zamierzające sprowadzić go z jasnej i prostej drogi wierności dla Komendanta i jego idei.

W 17 roku, w kraju, gdy nad Legionami zawiązała zagłada, sprowokowana narzuceniem przysięgi przez Radę Stanu, piąty pułk w całości znajduje się za drutami Szczypliorny lub w armji austryjackiej, w obozach karnych na froncie włoskim.

Lecz rok tylko trwał ciężki stan rozbitcia legionowych żołnierzy, rozrzuconie ich po obozach jeńców i po obcych frontach.

Jesienią 1918 roku państwa centralne chyły się ku upadkowi. Armję zaczyna przeżerać rak buntu i rewolucji. Polska czeka momentu tylko, kiedy będzie można zerwać pęta.

Kraków daje hasło. 1 listopada 1918 roku wyrzuca Austryjaków.

Wówczas to, w tym momencie ogólnego rozpreżenia, rozgardjaszu i bezhołowia, w momencie kiedy na Lwów uderzali Ukraińcy—pierwszym regularnym oddziałem, utworzonym w Polsce niepodległej, pierwszym zorganizowanym pułkiem piechoty staje się 5 pułk.

W kilka zaledwie dni, pod dowództwem podpułkownika Tokarzewskiego-Karaszewicza formuje się na gwałt i w pierwszej połowie listopada rusza na wschód, na odsiecz oblężonego Lwowa.

W krótkich, zaciętych bojach zdobywają piątacy Przemyśl atakiem na mosty na Sanie, Mościska, a 22-go listopada wspaniałym uderzeniem rozrywają obręcz ukraińską, i wyrzucają nieprzyjaciela ze Lwowa.

Od 22 listopada 1918 r. toczy pułk zacięte boje w obronie Lwowa. Ludność miasta niema wprost słów uznania, i wdzięczności dla piątków, święcie wierząc, iż ten pułk wszystkie ataki odbije i odcinek swój zawsze utrzyma w ręku.

I nie zawiódł się Lwów na piątym pułku ni razu.

W marcu 1919 roku Naczelny Wódz wydaje rozkaz generałowi Śmigłemu sformowania 1 Dywizji Legionów, by z nią ruszyć na Wilno.

Sciągnięto wówczas 5 pułk ze Lwowa, pozostawiając tam jeden batalion i biorąc podoficerów i żołnierzy za kadre, stworzono w trzy niespełna tygodnie nową dywizję piechoty. Od wiosny więc tego roku 5 pułk w zmienionym składzie żołnierskim, lecz oficerskim i podoficerskim tym samym — jako część 1 Dywizji Legionowej rusza na Wilno pod dowództwem majora Dąb-Biernackiego. I batalion obejmuje por. Hoser, II—kapitan Mond, III—kapitan Bortnowski.

W końcu kwietnia pułk, wyrzucony pod Lidą wprost z wagonów, rozstrzyga bitwę i wraz z su-

walskim pułkiem strzelców odbiera masto, aby natchnąć prawie po wzięciu Lidy—runąć na Wilno.

Za ulanami Beliny, Orlicza i Zaruskiego wpada do miasta piąty pułk i przesądza krwawą walkę uliczną...

Od kwietnia piątacy, znani już dostatecznie wilnianom, biorą udział w ofensywie, która od Wilna zaprowadziła ich aż ku bramom Dyneburga.

W szeregu świetnych walk pod Podbrodziem, Święcianami, Smorgoniami, Wilejką, Liabkami niezmordowanie biją piątacy bolszewików, panicznym przejmując ich strachem.

Dawniejsi „Zuchowaci“ Legionowi do wieńca sławy ubierali nowych wawrzynowych liści „chadzając na bolszewików jak z kijem na gęsi“, zdobywając około setki karabinów maszynowych i kilka armat w ciągu kilku zaledwie miesięcy ofensywy na froncie lit. białoruskim.

Po zdobyciu Dyneburga pułk rusza dalej w krwawych walkach aż do letgalskiego jeziora Osweja.

Po walkach na Łotwie, wprost z pod Dyneburga, po krótkim postoju w Baranowiczach, piąty pułk zostaje przerzucony na front południowy, by wraz z dywizją brać udział w ofensywie ukraińskiej. Po wspaniałym zdobyciu Żytomierza, raz po raz komunikat wojenny Nacz. D-twa wspomina o bohaterskich czynach 5 pułku. Po odwołaniu z Kijowa, gdy trzecią armję zewsząd otoczono — cofającemu się w nadzwyczajnym porządku gen. Śmigłemu zastępują drogę pod Borodianką dwie dywizje bolszewickie. Sytuacja jest niesłychanie groźna. Borodianka musi być wzięta, bolszewickie dywizje muszą być rozbite — w przeciwnym razie armja może być zgubiona.

Atakuje piąty pułk. W niesłychanie krwawej bitwie, w rozpaczliwej walce nocnej i dziennej łamie kilkunastokrotną przewagę moskiewską, szturmem zdobywa Borodiankę, stosami trupów bolszewickich usłaną.

Po odwołaniu ukraińskim pułk walczy pod Świniuchami, gdzie rozbija w gwałtownym wypadku dywizję bolszewicką, walczy na starych legionowych pozycjach nad Styrcem i Stochodem, wreszcie ogarnięty ogólnym strategicznym odwrotem cofa się na Dęblin.

Następuje przełomowy dzień 14 i 15 sierpnia. I dywizja Legionów pod dowództwem pułk. Dęba-Biernackiego, a z nią i 5 pułk, jak straszliwy grot, puszczony niezawodną ręką zaszył się piorunowym ciosem w cielsko nieprzyjacielskich armij. W ciągu siedmiu dni, od 15 do 22 sierpnia pokonywa pułk w cięższych walkach przestrzeń od Brześcia do Białegostoku, prze niepowstrzymanie wzdłuż Bugu, rulując i zwijając front bolszewicki, niecąc przerażenie i grozę.

Stąd, z Białegostoku, którego nie oddał mimo rozpaczliwych kontrataków, runie na, Sejny zdobywa je, a później bierze chlubny, zaszczytny i jak zawsze zwycięski udział w walce nad Niemnem, gdzie ostatecznie rozstrzygnął Naczelny Wódz wojnę polsko-rosyjską.

To też szósta rocznica utworzenia 5 pułku p. legionowej, zbiegająca się niemal z uroczystością udekorowania sztandarów wszystkich pułków I Dywizji krzyżem „Virtuti Militari“, jest uroczystością nie tylko I Dywizji Legionów, ale i całej armji polskiej, której pułk ten jest chlubą i zaszczytem.

Wacław Socha.

Z dni wielkich klęsk i wielkich zwycięstw.

Wyprawa kijowska.

Podstawą każdego rozkazu operacyjnego, każdej akcji własnej, muszą być mniej więcej dokładne wiadomości o nieprzyjacielu, o jego stanie liczebnym, rozmieszczeniu oddziałów, zaopatrzeniu materialnym, wartości moralnej żołnierza i zamiarach d-twa nieprzyjacielskiego. Bez dokładnego wywiadu niemożliwym jest prawie wykonanie jakiegos przedsięwzięcia, a w każdym razie będzie ono połączone z wielkimi trudnościami i narażone na zbyt wiele niespodzianek. Jakież wiadomości miało Naczelne Dowództwo o bolszewikach w okresie przygotowań do wyprawy kijowskiej? Czy rzeczywiście miało ono tak niedokładne wiadomości o nieprzyjacielu, tak go niedoceniło, tak było zaskoczone jego potęgą, jak to mówiono w niektórych kołach politycznych stolicy. Na pytania te dzisiaj możemy odpowiedzieć z całą ścisłością, bo późniejsze wypadki dostarczyły licznych materiałów, na podstawie których możemy ocenić wartość pracy Oddziału II Naczelnego Dowództwa (Informacyjno-Wywiadowczy).

Naturalnie żaden wywiad czy to głęboki, czy też przyfrontowy, nie potrafi dać dokładnego obrazu rzeczywistości i pewne błędy, pewne niedokładności są nieuniknione. Trudną zwłaszcza jest ocena wartości moralnej armji nieprzyjacielskiej, raz, że ulega ona ciągłym zmianom, a po drugie, że ocena ich zależy zbyt od subiektywnego stanu tego, który robi wywiad. I w ocenie właśnie czynników moralnych mogą być porobione bardzo duże błędy. Szczególniej jeżeli chodziło o bolszewików, którzy mają w zapasie tak wiele nadzwyczajnych i ogólnie niepraktykowanych środków pobudzania zdemoralizowanych mas żołnierskich do walki. Zresztą nawet najdokładniejsze wiadomości o nieprzyjacielu, posiadane przez Oddział II Naczelnego Dowództwa, nie rozwiązują całej sprawy. Bardzo ważnym jest również to, jak ocenia nieprzyjaciela wojsko stojące na froncie. Żołnierz w linii, niezależnie od tego co mówią wywiadowcy, co piszą komunikaty informacyjne, na podstawie wrażeń osobistych, wyrabia sobie własny sąd o nieprzyjacielu. Na to nic nie poradzą rozkazy, idące z góry i prostujące błędne poglądy i skłonność do niedoceniań przeciwnika. Niejednokrotnie idące z góry wiadomości o znacznych siłach nieprzyjaciela skupionych na pewnym odcinku, o jego dużej wartości moralnej i woli zwycięstwa spotykają się z niedowierzaniem w oddziałach linjowych i uważane są za panikarstwo.

Kampanja roku 1919 zepsuła i zdemoralizowała pod pewnymi względami naszego żołnierza. Wojna na wschodnim froncie w roku 1919, jeżeli porównamy ją z operacjami wojny światowej, była przecież „małą wojną“. A jak już zauważył jeden z teoretyków wojskowości francuskiej, „la petite guerre gâte le militaire“. Żołnierz nasz, stałe zwycięski we wszystkich walkach z bolszewikami, nabrał ogromnej pewności siebie i nauczył się lekceważyć wroga. Niedoceniał bolszewików, jako przeciwnika, stale powiększał widok zabranych do niewoli wynędzniałych i obdartych „krasnoarmiejców“, którzy, chcąc się przypodobać, opowiadali niestwo-

zione rzeczy o brakach i niedomaganiach armji bolszewickiej. Zresztą, w rzeczywistości piechota polska stała o niebo wyżej od bolszewickiej, a pewność i poczucie wyższości były pod pewnymi względami uzasadnione. Tak, czy inaczej z wiosną 1920 roku w oddziałach stojących na froncie ogólnie sobie lekceważono bolszewików i to może znacznie więcej, niż na to zasługiwali. Takie niedoceniań wroga jest wadą każdej młodej armji, która nigdy nie potrafi wyrobić sobie trafnego poglądu na ustosunkowanie sił u nieprzyjaciela. Przypomnę tylko, że to samo wydarzyło się armji rosyjskiej podczas kampanji mandzurskiej, chociaż podobno sztab gen. rosyjski miał dosyć dokładne raporty o wysokiej bojowej wartości Japończyków. Tak samo Anglicy, podczas kampanji południowo-afrykańskiej, początkowo lekceważyli sobie Burów, co później pociągnęło za sobą bardzo przykre konsekwencje.

Naturalnie nastroje z frontu przedostawały się do kraju, gdzie takie poglądy i wiadomości o nieprzyjacielu uważano za pochodzące z góry, od czynników miarodajnych. Utarło się tedy powszechne przekonanie, tak w wojsku, jak i w społeczeństwie, że bolszewików niema co się obawiać, że są oni niezdolni do przeprowadzenia większej akcji ofenzywnej przeciw Polsce, że jeżeli ją nawet spróbowali przeprowadzać, to i tak z pewnością im się nie uda. Przekonanie to potwierdziła nieudana ofenzywa bolszewików w marcu i kwietniu na Wołyniu i Polesiu.

Naczelne Dowództwo wiedziało już dawno przed ofenzywą kijowską, że bolszewicy przygotowują się do wielkiej ofenzywy na Polskę, że odbudowują ważne objekty strategiczne (naprawa mostów pod Czerkasami, Krzemieńczugiem i Kijowem), że usiłują uruchomić nowe i podnieść produkcję już czynnych fabryk przemysłu wojennego, że wzmożono propagandę w kraju i w armji i t. p. Od marca front polski był bardzo intensywnie zasilany nowymi jednostkami bojowymi, a istniejące były uzupełniane. I tak np. wiadano dokładnie, że między 1-ym i 15-ym kwietnia bolszewicy przetrzucili na front polski około 19-u brygad t. j. z górą 33,000 bagnatów czyli prawie 45% stanu poprzedniego. Pozatym awizowano szereg nowych dywizyj, które miały odejść na front polski, a między innymi znaną ze swej skutecznej akcji na froncie Denikinowskim konną armję Budiennego.

Komunikat informacyjny oddziału II N. D. z 15 maja, a więc w tydzień po zdobyciu Kijowa, stwierdza, że armja konna Budiennego składa się z 4 dywizyj liczących ogółem 10.000 szabel i że przekroczyła już Dniepr w rejonie Ekaterynostawia i Aleksandrowska. W następnym komunikacie z dnia 1.VI b. r. przy omawianiu operacyj bolszewickich między Dźwiną i Berezyną, podkreślono wytrzymałość bojową czerwonych żołnierzy i dużą intensywność w wykonaniu zadań, mimo licznych braków w zaopatrzeniu i trudności w dowozie amunicji. Czytając te komunikaty i porównyując je z danymi powyższymi, można stwierdzić, że Nacz. Dowództwo naogół dość dobrze wiedziało co się dzieje na froncie u bolszewików, jakimi siłami rozporządzają.

jaki jest stan zaopatrzenia armji w broń i amunicję i t. p. Zdaje się, że na odcinku północnym pomyłono się tylko co do jednej dywizji, której obecność ustalono później.

Jeżeli dłużej zatrzymałem się nad tem, co wiedziało N. Dow. o bolszewikach w maju r. b., to nie dlatego, by mi chodziło o apologję naszych najwyższych władz wojskowych, ale tylko by ustalić stan faktyczny. Pewnie odłam prasy polskiej, prowadzący ostrą kompanję przeciw N. Dow. starający się wszelkimi sposobami podkopać w wojsku i społeczeństwie zaufanie do niego i zwalający nań całą odpowiedzialność za klęski, poniesione w czerwcu i lipcu dowodził, że właśnie N. Dow. nic nie wiedziało, nie przewidziało i nic nie przygotowało.

Takie stawianie sprawy wprowadza tylko w błąd opinję społeczeństwa i utrudnia nam dostrzeżenie właściwego zła, właściwych przyczyn klęski narodowej, których geneza była znacznie głębszą — i zupełnie innej natury. Pewno, że i Naczelne Dow. — jak każda rzecz ludzka, — nie było wolne od błędów i fałszywych posunięć, ale właśnie nie ono głównie spowodowało nasze niepowodzenia militarne po wyprawie kijowskiej. Może i Naczelne Dowództwo, pod pewnemi względami, niedoceniało u bolszewików ogromnego oporu w realizowaniu powziętych zamiarów, silnej woli zwycięstwa, dużej zdolności do wykonania długotrwałego wysiłku bojowego i sprawności w pobudzaniu mas do walki. Ale to wszystko posiadało drugorzędne znaczenie wobec innych czynników, jakie w danym wypadku wchodziły w grę.

Tak, czy inaczej wszystkie wiadomości napływające w marcu i kwietniu z armji bolszewickiej, zmuszały N. Dow. do jaknajszybszego rozpoczęcia operacji ofensywnych, by utrzymać inicjatywę i nie przyjąć walki obronnej — która dla nas mogłaby się skończyć fatalnie.

Stan naszej armji, liczebny i moralny, zaopatrzenie w amunicję i prowiant przed wyprawą kijowską były na ogół zadawalniające, nie budziły poważniejszych obaw. Żołnierz rwał się do walki i był jaknajlepiej usposobiony — ówczesny stan naszej armji wyraźnie upoważniał do wniosku, że sprostą ona nawet najcięższym zadaniom, jakie jeszcze ją mogą oczekiwać na froncie wschodnim.

Energiczne przygotowania do wyprawy kijowskiej były ukończone koło 24 kwietnia. Do Zwiahała sprowadzono z frontu północnego (z Baranowicz, gdzie stała w rezerwie) 1 d. p. L. P. która wraz 7 d. p., 4 d. p., grupą pułk. Rybaka, 3 bryg. jazdy i dywizja jazdy gen. Romera, weszła w skład 3 armji, dowodzonej przez gen. Rydza Śmigłego. Armja ta miała wykonać główne zadanie. Na prawo stały 2 i 6 armia. Kierownictwo nad operacjami objął osobiście Wódz Naczelny, który, jako dzień rozpoczęcia ataku wyznaczył 25 kwietnia. Nie będę tutaj opisywał szczegółów tej kampanji, która, trzeba przyznać, była jaknajstaranniej przygotowaną i pod każdym względem świetnie przeprowadzoną. Plan operacyjny całej wyprawy był oparty na najzdrowszej doktrynie wojskowej i dowództwo polskie potrafiło zapewnić sobie wszystkie elementy bojowego powodzenia: ogromną siłę i rozmach uderzenia frontowego, błyskawiczność ruchów, niezwykłą sprawność marszową piechoty, zdecydowaną i śmiałą akcję oskrzydłającą jazdy. XII armja sowiecka, broniąca Kijowa, została rozbitą prawie doszczętnie, a XIV i XVI poważnie osłabione i zmuszone do odwrotu za Berezynę i

Dniepr. Dnia 8 maja oddziały 3 armji wkroczyły do Kijowa i natychmiast sforsowały Dniepr, tworząc na lewym brzegu rzeki silny przyczółek mostowy. Jednocześnie 2 i 6 armia osiągnęły mniej więcej nakazaną linię i po przegrupowaniu stanęły w pozycji obronnej, gotowe do odparcia ewentualnych kontrataków nieprzyjaciela. W kilka dni po zajęciu Kijowa ofensywa była skończoną, bo niepodobna było iść dalej, a wszystkie punkty operacyjne zostały w zupełności osiągnięte.

Nasuwa się teraz pytanie, czy wyprawa kijowska ziściła wszystkie nadzieje w niej przed Dowództwem polskie pokładane, czy dała ona wszystkie spodziewane korzyści militarne, czyli jednym słowem — czy ofensywa udała się? Dla niewtajemniczonych w arkana sztuki wojskowej pytanie to będzie co najmniej dziwne.

Jakto, — rozbito przecież jedną armję bolszewicką, dwie inne osłabiono? Opanowano ważne węzły komunikacyjne o wielkiej doniosłości strategicznej, zajęto kawał kraju mlekiem i miodem płynący? Zdobyto wielkie ilości materiału wojskowego i taboru kolejowego, zabrano dużo jeńców?

Ale dowództwo polskie chciało jeszcze więcej. Chciało wielkiej bitwy rozstrzygającej, gdzieby mogło zadać bolszewikom stanowczy cios, chciało, by bolszewicy bronili Kijowa z tej strony Dniepru — i do jego obrony skupili jaknajwiększą ilość sił i przez to odciążyli inne odcinki frontu polskiego. A po przebicciu cienkiej linii frontu XIV, XII i XVI armji, oddziały polskie maszerowały naprzód prawie bez boju i uderzały w próżnię... Bolszewicy bitwy nie przyjęli i wycofali się z resztkami sił stojących na prawobrzeżnej Ukrainie na tamtą stronę Dniepru. Biorąc z tego punktu *widzenia* wyprawa kijowska — nie udała się. Przyniosła ona nam wprawdzie bardzo duże korzyści wojskowe, ale nie dała nam tego, czego po niej się spodziewano. Wszystko to miało bardzo poważne konsekwencje dla dalszej wojny z Rosją bolszewicką.

Defenzywa.

Jeżeli z punktu widzenia tych celów, jakie sobie postawiło Dowództwo polskie, ofensywę z d. 25.IV. można uważać za nieudaną, to przedwczesnym byłby wniosek, że była ona przyczyną naszych późniejszych niepowodzeń. Przeciwnie — gdy wniknie się bliżej w sytuację bojową naszego frontu wiosną 1920, narzuca się jasny wniosek, że przez wyprawę kijowską uniknęliśmy później daleko gorszych klęsk.

Oprócz celów głównych i pozytywnych naczelnym i dominującym powodem wyprawy kijowskiej była obawa ze strony Dowództwa polskiego przed przyjęciem walki rozstrzygającej w pozycji obronnej. Zdawano sobie sprawę z tego, że wobec szczupłości naszych sił w stosunku do frontu, oraz wobec braku wprawy, ba nawet niezdolności naszego żołnierza do walki obronnej, bitwy rozstrzygającej w pozycji defenzywnej prawdopodobnie nie wygramy. Fatalny stan sieci komunikacyjnej na tyłach naszego frontu, brak taboru kolejowego prawie wykluczał szybkie i błyskawiczne przerzucanie sił i rezerw na odcinki zagrożone. Musielibyśmy więc na całym rozległym froncie, z górą 1200 kilometrów liczącym, skupić tak duże siły, by każdy odcinek oddzielnie mógł sam poprowadzić obronę w walce z dużemi siłami nieprzyjacielskimi. Wy-

magaloby to podwojenia, względnie potrojenia naszej armji, co oczywiście było niemożliwością.

W walce zaczepnej inicjatywa, ruch strategiczny wyrównają nieraz braki pod względem liczebnym.

Siłami, jakimi Polska rozporządzała wiosną 1920, można było wygrać kampanję z bolszewikami tylko prowadząc ją ofensywnie, utrzymując inicjatywę w swym ręku. I rzeczywiście wygraliśmy ją w ten sposób kilka miesięcy później prawie temi samymi siłami. Bo myliłby się ten, kto by sądził, że nasza armja w okresie bitwy pod Warszawą była liczebnie o wiele silniejsza, niż w okresie bitwy kijowskiej, że przez pobór nowych roczników i zaciąg ochotników podwoiliśmy albo potroiliśmy armję. Nic podobnego. Stan armji na froncie w dniu rozpoczęcia ofensywy sierpniowej, był zaledwie o kilkadziesiąt tysięcy bagnetów wyższy od stanu liczebnego w okresie wyprawy kijowskiej, a organizacyjnie—o jedną dywizję ochotniczą i brygadę syberyjską. Bataljony zapasowe były pełne, ale to bezpośrednio nie wpływało na przebieg ofensywy sierpniowej w pierwszych jej dniach. Dzięki temu ofensywa nasza mogła być dłuższą i bardziej uporczywą—mogliśmy więc pobić bolszewików po raz drugi na linii Niemna we wrześniu. Bitwę pod Warszawą jednak wygraliśmy przede wszystkim dlatego, że prowadziliśmy ją ofensywnie, żeśmy uchwycili inicjatywę, mieli jasne i wyraźne cele operacyjne.

Sama wyprawa kijowska właśnie dlatego nie dała wyników rozstrzygających, że nie pozwoliła nam uniknąć bitwy obronnej. Z drugiej jednak strony dzięki niej właśnie wielka bitwa obronna na froncie wschodnim w czerwcu i w lipcu odbyła się dla nas w warunkach korzystniejszych, niż gdybyśmy ją przyjęli naprzykład na pozycjach z d. 25. IV. Bo w rzeczywistości cóż się stało przez wyprawę kijowską? Nie ponieśliśmy wielkich strat, w ludziach i materiale, liczebnie nas wiele nie osłabiła, a tylko linja naszego frontu wysunęła się o 150—200 klm. dalej na wschód i bolszewicy zostali poważnie osłabieni.

Szematyzując powyższe wnioski możemy powiedzieć, że wyprawa kijowska, nie zmieniając zasadniczo naszego położenia, rozszerzała aż po Dniepr nasze przedpole, na którym mogliśmy potem walczyć i cofać się nie niszcząc własnego kraju;—przyniosła ona przytem osłabienie frontu bolszewickiego. Osłabienie to wydało owoce w czasie naszego odwrotu na linję Bugu pod naporem korpusu jazdy Budiennego, który nie mógł swej akcji dostatecznie poprzeć piechotą, gdyż po rozbiciu w kwietniu XII armji sowieckiej było jej na tym froncie bardzo niedużo. Tylko przez to mogliśmy do ostatka

zatrzymać Lublin i Lwów, co tak korzystnie wpłynęło na przebieg ofensywy sierpniowej.

Wyprawa kijowska w całej nagości odsłoniła olbrzymią trudność prowadzenia wojny z Rosją. Przed nami stał jakby olbrzymi, nieprzenikniony mur,—były nim wielkie przestrzenie Rosji, które pokonały Karola szwedzkiego i Napoleona. Po zajęciu Kijowa, jedynym celem operacyjnym w wojnie z Rosją mogła być tylko Moskwa.

„Wyprawa moskiewska” nie była w rzeczywistości taką niemożliwością, jak się to na pierwszy rzut oka wydaje. Z punktu widzenia strategicznego była ona może rzeczą jedynie wskazaną, jako dalszy ciąg wyprawy kijowskiej. Może przez zajęcie Moskwy, albo jej zagrożenie, uzyskalibyśmy już w czerwcu korzystny pokój z Rosją. W dziejach wojen polskich mamy już jedną udaną wyprawę moskiewską, także przeprowadzoną w „smutnoje wremia” dla Rosji. Dlaczego by nie miała się ona udać po raz drugi? Ale koniecznościom strategicznym zadaly tutaj gwałt względy polityczne. Wyprawa moskiewska, najzupełniej możliwa wojskowo, w ówczesnych warunkach wewnętrznych i międzynarodowych była niemożliwością.

Należało więc natychmiast wycofać się jaknajdalej na zachód, uzyskać cele operacyjne, przegrupować się i uderzyć. Planowana wówczas ofensywa na Smoleńsk i Witebsk nie zmieniałaby o wiele położenia na naszą korzyść.

Na przeprowadzenie jednak daleko idącego odwrotu strategicznego nazajutrz po zajęciu Kijowa Dowództwo polskie nie mogło się zdecydować. Skutki takiego daleko idącego odwrotu nie daly się wówczas obliczyć i był on nazbyt ryzykownym.

Znamy z historii wojny światowej kilka wypadków odwrotów strategicznych na większą skalę, np. odwrót Hindenburga z pod Warszawy w październiku 1914 roku, który Niemcom pozwolił na przegrupowanie, sprowadzanie posiłków i rozgromienie armji Wielkiego Ks. Mikołaja Mikołajewicza pod Łodzią. I nasz odwrót ostatni już po przełamaniu Bugu przez bolszewików, był odwrotem strategicznym, dobrowolnym. Ale taki odwrót bez ryzyka można przeprowadzić z żołnierzem karnym, wydyscyplinowanym, z jakiego składała się np. armja niemiecka 1914 r. Naszej armji z wiosny 1920 daleko było do poziomu armji regularnej w całym tego słowa znaczeniu.

Z ciężkim tedy sercem Naczelne Dowództwo było zmuszone do przyjęcia w czerwcu rozstrzygającej bitwy w pozycji obronnej, przypuszczając, że o ile jej nie wygramy, to w każdym razie zatrzymamy gdzieś bolszewików przed Bugiem.

T. R.

W piątym pułku legjonów.

Nasi przeciwnicy.

III.

Dochodzę tu do istotnej sprawy stosunku naszego żołnierza do przeciwnika i jego na wroga poglądów.

O ile chodzi o Rosję, żołnierz ma dwie zupełnie różne sfery odczuwania i ujmowania zjawisk. Z jednej strony bolszewicy, przywódcy i kierownicy Rosji dzisiejszej, z drugiej armja rosyjska i jej żołnierz.

Całe patryotyczne napięcie energii naszego żołnierza skupiało się przeciwko bolszewikowi. On dzi-

siaj był uosobieniem wojny, z której żołnierz polski wyrósł, w której się wychował, lecz której już miał dosyć. Bolszewik, system bolszewicki był dla żołnierza naszego symbolem wszelkich wysiłków, wymierzonych przeciw Polsce, zamachów na jej całość i niepodległość, a po ostatniej ofensywie był groźbą przeciwko samemu jej bytowi. Walka z bolszewikami — to walka elementarna, odwieczna walka polsko-rosyjska, zlokalizowana obecnie w postaciach komunistów, armji Budiennego, i komisarzów przy armjach. Nie widząc starej Rosji, a nie znając nowej, mając przed sobą podwójną agitację, rosyjską bolszewicką i naszą przeciwbolszewicką, znalazł żołnierz nasz jedno dla Polski niebezpieczeństwo, które pojmował, jako bolszewizm. Dla niego „bolszewizm“ nie zawierał w sobie żadnych pierwiastków społecznych, ani tymbardziej międzynarodowych. Był to system rządzenia Rosją, wymierzony przeciwko Polsce, oparty o komisarzy, o żydów, o ile chodzi o sfery kierownicze, o komunistów i chińczyków, jeżeli chodzi o elementy czynu. Był to zatem system przedewszystkiem przeciwpolski, którego właściwości zaznaczają się represjami przeciwpolskimi nie tylko w Rosji samej, lecz i wszędzie na kresach dawnej Rzplitej, gdzie działały armje rosyjskie. Był to system par excellence rosyjski, oparty o solidarność dwu naszych wrogów, Niemiec i sfer rządzących w Moskwie. Co więcej, był to system nawskroś militarystyczny, a jako taki źródło wiecznego jątrzenia i wiecznych wojen.

Niebezpieczeństwo dla Polski—rząd dzisiejszej Rosji wydawał się żołnierzowi naszemu źródłem wojny bez końca, był więc według niego nie tylko uosobieniem niebezpieczeństwa dla Państwa, lecz i winowajcą osobistych niekończących się jego trudów wojennych, był narodowym i osobistym wrogiem żołnierza. Takim też będzie zasadniczy i praktyczny stosunek naszego wojska do obecnej wojny. Przy propagandzie, czy bez propagandy, żołnierz nasz widzi w bolszewizmie, jako rządzie Rosji, bolszewikach w wojsku, zatym komunistach, chińczykach i komisarzach—swoich *osobistych* śmiertelnych wrogów. To też prowadził i z rządem Rosji, i z jego podporami walkę śmiertelną. Tu tkwiło źródło nieustannie odradzającej się zapalnej energii, gotowości do ofiar i poświęcenia w najgorszych czasach odwrotu lipcowego, w momentach niekiedy naprawdę krytycznych, tu mieści się również wytłumaczenie nienawiści bezlitosnej dla komisarzy—żydów, dla czerwonej gwardji, a zwłaszcza dla chińczyków. Męstwo osobiste komunistów, i niesłychana, wprost żywiołowa jakaś wytrzymałość chińczyków nie rodziły uznania tak zwykłego w podobnych sytuacjach w stosunku między równymi przeciwnikami, lecz budziły ślepą, chłopską zaciełość i mściwość bez opamiętania, uczucia, które od żołnierzy udzielały się i oficerom. Pod tym względem nastroj był zupełnie jednolity. Wielokrotnie raniony chińczyk jeszcze się zrywał do walki. Leżący obok rannego komunisty nasz żołnierz czołgał się, krwawiąc drogę, do karabinu, by dobić wroga. Trzeba było używać niesłychanych perswazyj, najczęściej podstępny, by uratować jeńca chińczyka. Komisarzy żywych nasi nie brali zupełnie.

Natomiast, innym był stosunek do przeciętnego szeregowca bolszewickiego, a nawet i do oficera, najczęściej ochotnika w armji bolszewickiej, dawnego „dobrowolca“ od Kołczaka i Denikina. Żołnierze nasi lekceważyli tę armję źle ubraną i źle uzbrojoną, a podszy-

tą tchórzem, pogardzali nią i pewni byli zawsze zwycięstwa w razie spotkania. Niewoli u bolszewików lękali się jednak bardzo: bolszewicy obdzierali naszych ze wszystkiego do koszuli włącznie, i obchodzili się z nimi w sposób uwłaczający wszelkim elementarnym wymaganiom ludzkości. O krwawej niewoli obiegał w wojsku najgorsze wieści. To też pierwszym wysiłkiem każdego było wydostać się stamtąd; ucieczka nie była zbyt trudna, wobec słabego doboru, nieustannego cofania się przeciwnika, i nadziei na pomoc i opiekę ludności miejscowej. Żołnierze nasi nieraz parę tygodni ukrywali się u chłopów, ażeby powrócić do swoich oddziałów, przyprowadzając — jak to było po Lidzie — jeńców bolszewickich.

Z chwilą wzięcia bolszewików do niewoli stosunek do nich się zmieniał. „Zamieniano“ z nimi wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, lecz naogół postępowano z nimi dobrze. Żołnierz nasz nie przestawał odnosić się pogardliwie do Moskala, okazywał mu jednak jakąś pobłażliwość, traktując go, jako coś biednego, zasługującego na litość, której mu nie odmawiał, lecz odnosząc się doń, jako do istoty niższej. Człowiek, który jadał ziemniaki na surowo, nie był zupełnym człowiekiem — i nie mógł, zwłaszcza w niewoli, rościć pretensji do uznania swego „człowieczeństwa“. Zresztą on takich pretensji nie wysuwał; był naogół wdzięczny za wszystko, co otrzymywał z rąk naszego żołnierza, a co przeważnie nie ustępowało zwykłemu jego zaprowiantowaniu z czasów pobytu we własnej armji.

Całkiem inny był stosunek do Litwy i Litwinów, a wojna z nimi przyszła nagle, spadła wprost na nasz pułk nieoczekiwanie. O ile chodzi o Litwę, istnieje jeden punkt, na którym każdy żołnierz 5 pułku jest nieprzejednany: jest nim sprawa Wilna. Żołnierz nasz jest szczególnie do Wilna przywiązany: trudno wyjaśnić źródła tej miłości. Wspomnienie wiosennego wysiłku, który dał wspaniałą tryumf nad wrogiem, entuzjazm ludności wyzwolonej z pod jarzma obcego, nieklamana szczerza i stale okazywana żołnierzom miłość sprawiły, że odtąd dla każdego piątego Wilno stało się symbolem wszelkiego dobrego w życiu. Myśl, że Wilno może być od Polki odcięte, jest dla żołnierza naszego nieznośna. Dla ponownego odbicia tego miasta gotów on był do wszelkich ofiar. Po bitwie pod Sejnami panował lęk, że pójdziemy na Kowno, a tymczasem wszyscy chcieli iść na Wilno i liczyli, że droga poprowadzi przez Lidę;—przecież przez Lidę szła ona poprzednio w r. 1919. Kiedy po kilku dniach marszu okazało się, że idziemy istotnie na Lidę, serca wszystkich zabiły żywiej: istniała pewność, że teraz Wilno nas nie minie. A kiedy z Lidy pchnięto nas na południe radość ustąpiła miejsca smutkowi, lecz pocieszano się zarazem, iż najpewniej dywizja ochotnicza poszła nad Wilejkę. Na punkcie Wilna żołnierz jest nieprzejednany i nie uznaje możliwości jakiegokolwiek dyskusji. Innych punktów spornych z Litwą nie zna. Ma natomiast do rządu litewskiego głęboki żal za „zradę“ popełnioną jesienią tego roku, za ten przygotowany w porozumieniu z bolszewikami sztych w plecy, który mógł być dla armji naszej śmiertelny. Nie licząc na spotkanie i nie spodziewając się go zupełnie, chętnie gotów był żołnierz nasz stanąć do walki, by ukarać Litwę za jej postępowanie zdradzieckie, by również pomścić ciężką niewolę, w jakiej znajdowali się ci z naszych żołnierzy, którzy przypadkiem dostali się do rąk litewskich w chwili pełnienia służby na linii demarkacyjnej.

Pozatym wszystkim, istniał jeden jeszcze motyw, który zagrzewał żołnierzy naszych do walki z Litwinami, motyw czysto osobisty, który zrozumieć można tylko w promieniu psychiki myśliwskiej. Jak prawdziwy myśliwy z wruszeniem głębokim, a zarazem gorącą radością szykuje się do wyprawy na nieznanego mu dotąd zwierzaka, tak zabierali się żołnierze nasi do walki z Litwą. Był to przeciwnik, którego jeszcze nie znali. Trochę pokpiwali z niego z góry, przecie to był „bażant“, świeżo do służby wciągnięty, i nie znający ognia. Trochę liczyli na jego świetne umundurowanie amerykańskie, zwłaszcza na jego płaszcz. Byli go w sumie bardzo ciekawi, choć nie mieli żadnej na niego zaciekłości. Ciekawość w pierwszym spotkaniu zaspokoili, pozostał równy, prawie koleżeński stosunek do przeciwnika niższego, lecz żołnierza dobrego, choć zwyciężonego. Znaczna liczba żywiu polskiego w tym wojsku i to przeświadczenie o jego zasadniczej wartości rodziły stosunek zupełnie odmienny, niż do bolszewików,

Wojsko nasze, w przeświadczeniu żołnierza naszego, o wiele wyższe od wojska litewskiego spotka-

ło się z nim w równym boju i zwyciężyło. Nie było w tym winy Litwinów, była to konsekwencja naturalnej naszej wyższości. Poszczególne żołnierze litewski nie ustępował jednak naszemu, zasługiwał na równe traktowanie, o ile w żołnierzu naszym nie była zbyt ostra pamięć świeżo przebytej u Litwinów niewoli! Taki żołnierz dawał Litwinom „szkołę“, ułatwiając swoje z Tarybą porachunki. Zresztą był to wyjątek — ogół doświadczenia więziennego na Litwie nie posiadał, i dostrzegał w Litwinie, nie sługę obcego najazdu, lecz dawnego swego spółrodaka, rzuconego na siebie agitacją i przymusem.

Szeregowiec nasz był dla szeregowca litewskiego jakgdyby kolegą innej broni, oficer nasz był dla oficera litewskiego—jeńca pełen kurtuazji, zapewniając mu wszelkie względy, nie przywiązane do jego obecnej sytuacji, lecz należne jego stopniom.

W tym stosunku samorzutnie ujawniał się polski instynkt państwowy żołnierza naszego, który jakgdyby wyczuwał istniejące w tym względzie, sobie naogół nieznanne, rozkazy wyższej.

Marceli Handelsman

Pieśń o 64 p. p.

*Szumą pod Gdańskiem Bałtyku fale
Od modrej Wisły szumny leci śpiew —
Mówi o bojów zwycięskich chwale,
W których Grudziądzki pułk przelewał krew.
Bo gdy Ojczyźnie groził wróg zażarty,
Stanął do boju sześćdziesiąty czwarty.
Czerwony orzeł na proporcu łśni
Bo chrzest obfity wziął z rycerskiej krwi
Od Gdańska wieży do Berezyny
I Dniepru brzegów swój nieśliśmy śpiew —
Przemierzyliśmy Polski równiny
A drogi nasze hojnie znaczy krew.
Bo kiedy walczy—to już nie na żarty!
Znają wrogowie—sześćdziesiąty czwarty.
Czerwony orzeł na proporcu łśni
Bo chrzest obfity wziął z rycerskiej krwi.
O, nie zapomną tak prędko wrogi
Ile ich trupów niósł na falach Bug —
O nie zapomną swojej klęski srogiej
Gdy do Warszawy szukali dróg!*

*Zwycięskich planów pomieszał im karty
I odeją odwrót—sześćdziesiąty czwarty.
Czerwony orzeł na proporcu łśni
Bo chrzest obfity wziął z rycerskiej krwi.
W Dywinie zewsząd wróg nas otoczył,
Pięćkroć szturmował wzdłuż naszych dróg!
Pułk do ataku z bagnetem skoczył
„Niech żyje Polska“—i uciekł wróg.
I przełamany został wróg uparty,
Okrył się sławą sześćdziesiąty czwarty.
Czerwony orzeł na proporcu łśni
Bo chrzest obfity wziął z rycerskiej krwi.
Hej, ezynów naszych wzrasta sława,
Po całej Polsce leci o nas wieść.
Tych co wracają—powita sława
Poległym braciom niechaj będzie cześć.
Pokój zwycięski już został zawarty
Wraca zwycięsko—sześćdziesiąty czwarty.
Czerwony orzeł na proporcu łśni
Bo chrzest obfity wziął z rycerskiej krwi*

EMISARJUSZE.

II.

Mijali już ostatnie budowle, gdy z jednej wypadł znany im już, spotkany dopiero w tamtej chałupie żyd.

Zabiegł im drogę: — postojcie towarzyszczy, was zowut zdzieś.

Przystanąli niechętnie. Wskazywał mi nieopodal jakiś komin, stojący u zbiegu dróg ostatniej w pustym polu chałupy, z której zmierzało już do nich kilku żołnierzy.

— Pożałujcie za mnój.

Ciężkim, leniwym krokiem Drohojowski szedł przodem, za nim Zyglar w towarzystwie żyda.

Zygler patrzył na idącego przed sobą Stacha. Dziwnie plastycznie wbił mu się w oczy deseń jego kratkowanych spodni, opiętych w przykrótkie buty z cholewami i kolor rozwianego paltota, szczególnej jakiejś tkaniny, coś jak guma odwiecznej bryczulki, z rupieci wyciągnięta. Żal głuchy ścisnął serce na myśl, że niewiadomym zrządzeniem losu mogą się rozstać teraz i innej, której nie chciał dopuścić do siebie, że ten najlepszy towarzysz może zginąć...

Tymczasem idący wspólnie zyd rozpoczął in-dagację.

Wy—polak?—spojrzał suchotniczymi, bezbarw-nemi oczyma.

Zygler potrząsnął przecząco głową.

— Ruski?

Ten sam milczący ruch.

— Jewrej?

Skinął mu potakująco.

Jakiś blysk zamigotał przez chwilę w szpiclow-skich źrenicach. Wtedy w nagłym łopocie serca posłyszał pytanie, skierowane już tym razem w plu-gawym, chrapliwym żargonie, którego treści prze-niknąć nie mógł wiedzeniem, ani intuicją.

Postanowił zdać się na wolę losu, uczepił się jak tonący kruchych badyli sitowia—metody milczącej mimiki.

Na chybił-trafił uczynił głową ruch nieokre-ślony.

Snadź utrafił, bo żydek znowu rzucił kilka słów w żargonie.

Zgarnął w pamięci wszystką znajomość swoją tej mowy i znalazł w słowniku pamięci dwa wszyst-kiego wyrazy: „myszygene“ i „wues“.

— Wues — wyjąkał z rezygnacją, spojrzawszy melancholijnie na rozmówcę.

Żyd przystanął i jeszcze przez pewien czas pluł nań jakieś flegmiste, jak wejrzenia oczu, słowa. W pewnej jakiejś chwili Zyglar musiał chybić, bo żyd nagle zmienił ton, zwracając się doń energicz-nie po rosyjsku.

— Ty — skąd?

— Z Pińska.

— Miejsce twojego pochodzenia?

— Pińsk.

Żyd potrząsnął niecierpliwie głową.

Ja się nie pytam, skąd ty idziesz, ale ja się pytam, skąd ty pochodzisz, gdzie ty zapisan w knigi narodonastienja, gdzie ty żyjesz?

Pińsk — powtarzał swoje uparcie i martwo.

Żyd skoczył doń jak ryś, jakby go chciał zlin-czować.

— Jak? Pińsk — ja także z Pińska, ja ciebie tam nigdy nie widział. Twoja familja?

Zaczął recytować tedy powoli długi, wyuczony tytuł..

Ber—Lew—Benjaminow..

Nie dokończył. Na jedną krótką chwilę oble-ciała go śmieszna myśl, że badający go agent mo-że być właściwym posiadaczem jego znalezione-go i sfalszowanego paszportu, że to jest to właśnie nikt inny tylko ów Ber-Szejba—dwojga imion, syn Benja-mina Eibeschutz. Ta wytworzyć się mogąca ope-retkowa sytuacja przejęła go zgrozą i nagłym znie-chęceniem. Nie chciało mu się już więcej łąać. Opa-nowała go niezmożona żądza trzaśnięcia przez łeb tego żyda—rzucenia mu w oczy śliną zabójczej po-gardy.

Wchodzili do chalupy, w której tymczasem pod eskortą żołnierzy znikł już Stach.

W izbie pełno było bolszewików. Przy jednym z nich, nachylnym nad mapą — stał Drohojowski, udzielając jakichś wyjaśnień. Zyglar wiedział, że choć odwrócony tyłem — Stach widzi go doskonale i podobnie jak on myśli i czuje teraz podwójnie: za siebie i za niego.

Przeprowadzili go do sąsiedniej izby, wraz ciasno otoczyli jacyś ludzie, wzięli w krzyżowy ogień pytań. Ujrzał wśród nich zagiętykulowanego, prze-krzykującego wszystkich nerwowo swego delatora, oraz dziobatego Bartka — zdobywcę z nieodłączną lornetką. Oglądali pod światło jego dokument, żyd krzyczał coś na w pół rosyjskim, na w pół-żydow-skim żargonie, ręką uderzając w papier. „Pińsk, Pińsk—Eibeschutz“ dolatywały go wciąż słowa.

Rozpytywali się go o ten Pińsk, jakie są w nim ulice, jak się nazywają i jak biegną. Zyglar nigdy nie był w tym mieście. Bąkał coś, wyrzucał z sie-bie krótkie, bezładne, bez sensu odpowiedzi, wreszcie jął się w zeznaniach chwiać, płatać. Przystąpiono do rewizji osobistej. Rozebrano go do naga, poddając szczegółowej, krępującej rewizji gołego ciała z równą wprawą i wyrafinowanym cynizmem jak czynili to ongi carscy siepacze ochrany.

W pewnej chwili żyd z tryumfem wydobył z ukrytej kieszeni paczkę banknotów i listów pry-watnych, wiezionych „przez grzeczność“ z Warsza-wy. Zaczęto pruć podszewkę ubrania, zaglądnano w wszystkie fałdy, zagięcia, macano obrąbienia bie-lizny, zdzierano podściółki i podeszwy butów.

c. d. n.

Jan Szczęsny Mayzel

P R A C E

na dziś i jutro.

Narodowi o bratniej doli.

Redakcja nasza otrzymała list poniższy. W tem głębokim przekonaniu, że inicjatywa w nim zawarta godna jest w Polsce realizacji, chętnie podejmujemy się pośredniczyć między zgłaszającymi się, a inicjatorką.

— Może Was to zdziwi, że zwracam się wła-snie do Was z tą sprawą.

Ale mnie się właśnie zdaje, że tylko owe „wrogie przysięgłe niewoli“ potrafią ją zrozumieć i odczuć.

Czy wierzymy w jakąś rolę czystego współ-czucia między narodami, w jego płodność ideo-wą, — czy wierzymy w „obcowanie duchów“ na-rodów, które nie graniczą ze sobą ani terenem, ani kręgiem interesów? Ja wierzę—i czuję żywiolow-ą tego potrzebę, uważam ją za równie żywiolow-ą, jak ta potrzeba, równie żywiolowa, co wiodła do walki zbrojnej o naszą niepodległość.

Jaki jest naród, najpodobniejszy dziejami swoi-mi do naszych dziejów półtorawiecznych, dopiero

co zamkniętych?—naród, do dziś wybuchami z pod ziemi dający znać o sobie światu, temu światu, który—taki sam jak przed wojną—patrzy nań jak wystrojony widz z teatralnej łoży? Zupełnie, jak onego czasu, gdy w 1863 r. pisał jakiś wyrodek niemiecki:

„Es leuchten kalt die Sterne —
Europa sieht von ferne
Das grosse Trauerspiel“!...

Czy *nam*, specjalnie *nam*, przystoi stanowisko takiego widza na sensacyjnej premierze! Ze nie możemy być aktorami i pomóc czynnie, to wiem — i poprostu wykluczam tę myśl, jako absurd, ze względu na potęgę Anglii i na naszą niemowlęcą jeszcze słabość. Więc idzie tylko o *sposób patrzenia* — bo to rzecz nieobojętna dla życia świata, jak się patrzy na takie rzeczy—zwłaszcza, jeżeli patrzy wielki naród, o takiej tradycji wiekowej, o takiej rasie ducha, jak my. Na różne nieuleczalne cierpienia można patrzeć obojętnie, okrutnie, płytko, głęboko, drwiąco, lub ze współczuciem, wczuciem się i chęcią zrozumienia. Więc właśnie mnie się wydaje, że w życiu narodów jest miejsce na te odcienie i że *nam* wobec Irlandji—ostatniego i najnieszczęśliwszego niewolnika w Europie,—tylko to ostatnie stanowisko przystoi. Nie jako rządowi i sejmowi, ale samemu narodowi, masie czującej—i do tego nikt *nam* prawa odjąć nie potrafi!

Tyle jest już u nas — mimo mnóstwa zadań wewnętrznych i koniecznych — różnych towarzystw polsko-włoskich, polsko-węgierskich i t. p. Otóż ja bym pragnęła rzucić myśl stworzenia „*Towarzystwa Polsko-Irlandzkiego*“ — platformy zapoznania się i porozumienia. Można to ująć i bardziej osobiście: np. mnie ten kraj głęboko interesuje, chcę dotrzeć do jego literatury, życia kulturalnego, do jego sztuki i historii — a przypuszczając, że nie jestem odo-

sobnioną, szukam podobnych, aby stworzyć gromadkę, zdolną cel taki zrealizować.

Jest tu jeszcze jedna rafa: spotkałam się ze skrupulem, że takie towarzystwo byłoby Anglii solą w oku—żeby się mogła mścić na nas i t. p. Są to poglądy wyhodowane na tym samym podkładzie, co dawne hasło: „nie drażnić Rosji!“ Oczywiście tam szło o naszą własną skórę, a tu o cudzą — ale też wtedy myślny byli nędzarcami, a dziś—wolnym narodem, z szansami potężnego rozwoju. Więc dziś stać nas na to, aby w cudzym nawet interesie nie dopuścić do krępowania u nas przez obcych samorzutnej inicjatywy społeczeństwa. Wszakże byłoby to tylko *towarzystwo*, nie partja — zgola bez konkretnych celów politycznych.

Co za pociecha stąd dla walczącej i cierpiącej Irlandji? Sądzę, że byłaby jednak niejaka. Wyobraźcie sobie, gdyby przed 7 laty w Ameryce, lub Francji (tej przyjacielce, która wówczas w Paryżu nie pozwalała zameldować się nikomu, jako Polakowi, bo „taka narodowość nie istnieje“!!!) — było się zawiązało kółko ludzi, chcących nas poznać i *nam* współczuć — gdyby napisali do nas, przysłali swego delegata, zaprosili naszego. Czyby *nam* to było obojętne? Komuś, co utraci kogoś drogiego, nic niby nie pomoże, najlepiej nawet wyrażone *szczerze* współczucie—nieuleczalnie chorego nie uzdrowi bukietek kwiatów — biedaka nie dźwignie z nędzy to, że go ktoś poprosi siadać, lub rękę mu poda. A jednak—wiemy to dobrze—im wszystkim nie są obojętne te objawy, tak głęboko ludzkie — oni ich potrzebują, równie, jak realnej pomocy. Otóż nas nie stać na realną pomoc w tej chwili, ale stać nas na tamto. Przynajmniej mnie stać, a ufam, że i innych Polaków, równie żywo pamiętających własną niedolę, garstka się zbierze...

Z. Zawisza-Gąsiorowska.

Rzeczy Różne.

Nowa nota Cziczierina.

Bolszewicki komisarz dla spraw zagranicznych wystosował do rządu polskiego nową notę. Mowa jest w niej już nie o Petlurze i Bałachowiczu, lecz o Litwie środkowej, która ani w jednym punkcie nie graniczy z republiką sowietów i której terytorjum objęte jest najzupełniej tem *desinteresement*, które w sprawie litewskiej sowiety zadeklarowały w Rydze.

P. Cziczierin protestuje przeciw temu, że jakoby gen. Żeligowski jest faktycznie generałem w służbie polskiej — a Polska za czyny jego nie bierze odpowiedzialności. Wyraża też obawę, że tak jego wojska, jak i wojska *ententy*, (kilkuset, czy tysiąc kilkuset żołnierzy!) które mają tam przybyć na plebiscyt, mogą stać się punktem oparcia dla nowej akcji przeciwbolszewickiej.

Jest to oczywiście pozór. Chodzi tylko o pokazanie Litwie kowieńskiej, że Rosja w akcji antypolskiej zawsze za nią stanie. Pokusa ta już nawet swoje robi, bo p. Waldemaras na Zjeździe Ligi Narodów powtarzał dosłownie prawie bolszewickie argumenty.

Wojska *ententy* na terytorjum wileńszczyzny Polska nie życzy sobie wcale, ani żadnego rozjemstwa, które przeszkadzać tylko może swobodnemu

wypowiedzeniu się kraju w postaci sejnu wileńskiego. Ale ani stosunku naszego do tej interwencji, ani tym bardziej do Żeligowskiego nie będziemy uzależniali od tego, co o tem sądzi p. Cziczierin. Jego prawem bowiem stać poza nawiasem tych spraw.

Rokowania z Litwinami.

Zjechała do Warszawy delegacja rządu Kowieńskiego. Tu pod patronatem Ligi Narodów rozpocząć się mają wreszcie bezpośrednie rokowania Litwy z Polską w sprawie Wilna i wzajemnego stosunku na przyszłość.

Dobrze dla ich przebiegu zdają się wróżyć powitalne słowa przewodniczącego delegacji litewskiej, który mówił o wspólnej przeszłości tak w dobrej jak i złej doli, oraz podkreślał konieczność łączności między narodami wyzwolonymi z pod jarzma rosyjskiego.

Delegaci kowieńscy pamiętać jednak muszą o jednym. Polska odezwą Naczeinika swego przyrzekła ludności Wilna, że sama ona stanowić będzie o swoim losie. Tymbardziej więc teraz, gdy ludność ta posiada swoje prowizoryczne władze, które zwołały już Sejm do Wilna, musi Polska twardo stać na raz obranem stanowisku i tylko ta-

